

Leszek Lachowiecki: Witam Państwa na 17 konferencji zorganizowanej przez Stowarzyszenie Społeczno-Kulturalne Warszawa w Europie przy współpracy Fundacji im. Róży Luksemburg. Tym razem uwagę koncentrujemy na wielkiej, heterogenicznej grupie społecznej, którą niegdyś nazywano proletariatem, robotnikami, a dzisiaj nader często i z uporem chowa się ją wśród pracobiorców. To 41 procent Polaków wykonujących pracę fizyczną. Grupa ta, według badań prof. Domańskiego odznacza się wystarczającą spójnością, aby mówić o niej jako o klasie społecznej.

Co się stało, że po 89 roku ta grupa społeczna zginęła z języka i praktyki politycznej lewicy instytucjonalnej? Dlaczego lewica przyjęła język poprawności politycznej, tożsamy z kanonem neoliberalnym, i tak łatwo porzuciła zaplecze społeczne, które do niedawna wydawało się dla niej najbardziej naturalnym oparciem? Co się zdarzyło w samym proletariacie, niewątpliwie kurczącym się, ale ciągle, ponad wszelką wątpliwość, żywym? Z tymi pytaniami zwracam się do naszych panelistów.

Prof. Juliusz Gardawski: Na to pytanie odpowiedzieć nie będzie prosto. Ja zapewne odpowiedzi satysfakcjonującej nie udzielę. Spróbuję jedynie powiedzieć to, co wiadomo na podstawie badań empirycznych, w których sam uczestniczyłem, studiowałem, mówię o badaniach z lat 50-tych, kiedy próbowano zastanawiać się nad statusem klas społecznych i klasy robotniczej. Nim do tego przejdę dwa słowa o pewnych perturbacjach teoretycznych, z

którymi mamy do czynienia, gdy zastanawiamy się nad klasami społecznymi, a klasą robotniczą w szczególności, mianowicie: jeżeli podzielimy kapitalizm na dwa okresy zgodnie ze szkołą regulacyjną, tj. na kapitalizm fordowski, postfordowski, neofordyzm, postfordyzm czy kapitalizm zdezorganizowany i zorganizowany, a tego typu dystynkcji jest sporo, to nie niewątpliwie przyjdzie nam założyć, że w okresie kryzysów naftowych nastąpiła zasadnicza zmiana i w strukturze społecznej, i w teorii. Te zmiany w teorii można mierzyć zmianami koncepcji głoszonych przez analityków, badających strukturę społeczną do kryzysu naftowego, to jest oczywiście wielkie uproszczenie; nie podlega kwestii, że mamy do czynienia ze społeczeństwami klasowymi, z tym, że dawne tzw. silne teorie klasowe: marksistowska, a nawet częściowo neomarksistowskie, przestawały być dobrymi narzędziami i badano społeczeństwo przy pomocy zmodyfikowanych narzędzi weberowskich. Brytyjczycy w tym się specjalizowali, powstawały schematy, które pozwalały interpretować klasy, ale klasy jako formacje nowe, tzn. takie, które nie mają siły mobilizującej i zanika w nich świadomość klasowa. Profesor Domański jest zwolennikiem takiej tezy, badał ją, badał w ten sposób klasy społeczne, wskazując, że są to klasy słabe. Kazimierz Pączyński, Krystyna Łomnicka, ci badacze analizują społeczeństwo pod kątem słabych teorii klasowych. Tak też jest w Wielkiej Brytanii, słabe teorie klasowe tam dominują. Jednak by analizować może nie całą literaturę europejską, ale z kolei szukać aktualnie głównego nurtu, to okaże się, że teza o śmierci klas dominuje. Dominuje teza

o śmierci klas, a na miejsce klas pojawiają się różne sekcjonalne strukturyzacje społeczeństwa, grupy statusowe, tego jest bardzo dużo, nie będę w to wnikał. W każdym razie problem jest taki: czy istnieją klasy nawet w tej słabej wersji, czy nie? Oczywiście pociąga to za sobą pytanie o definicję klas. I tu jest wielki spór, czy istnieje taka paradygmatyczna definicja klas. Ja na wszelkim wypadku w tym momencie nie będę w to wkraczał – pan przewodniczący zwrócił mi uwagę 20 minut nie więcej – gdybym w to wkroczył, topię się i topię temat. tW każdym razie jest kwestia otwarta, to jest kwestia dyskusji: śmierć klas – tak, czy nie. Ja jestem zwolennikiem tezy u nas głoszonej, tezy brytyjskiej, że mówienie o śmierci klas przynajmniej w odniesieniu do społeczeństwa polskiego jest grubo przedwczesne, ta teza jest przesadzona. Klasy z pewnością istnieją, chociaż są klasami słabymi. Skoro tak, to zadajmy pytanie, z kim mamy do czynienia, jeżeli mówimy: klasa robotnicza. Państwo wybaczą, ja zrobię krótką wyprawę w przeszłość, która jest znana wszystkim państwu dobrze, ale chcę mieć zakotwiczenie, dlatego do niej się odwołam. Jak państwo świetnie wiecie myśmy mieli bardzo dobrą socjologię struktur społecznym, wielkich struktur społecznych, to była ta szkoła, która była tak mocno podtrzymywana przez Jana Szczepańskiego, jedna z najlepszych serii, jakie znam o strukturze w Europie – no, może bym przesadził, bo sa Brytyjczycy. Ale generalnie jedna z najlepszych serii to było zbadanie klasy robotniczej inteligencji, którą przez ponad 20 lat prowadził profesor Szczepański, robiono tam głębokie monografie, ale też były wydawane tomy,

które miały charakter szerszej generalizacji, tam ukazała się świetna monografia Malanowskiego - badania robotników, monografie klasy robotniczej. To uświadamiało istnienie klasy, ale z drugiej strony, jeżeli teraz przeglądać, a miałem okazję, te tomy z badania klasy robotniczej inteligencji to by się okazało, że przez długi czas głównym problemem był fakt braku solidnie zakorzenionej klasy robotniczej. Teza była taka mniej więcej: oto mamy do czynienia - lata 50-te, 60-te - ze starą klasą robotniczą, która nie odpowiada pewnym założeniom, jakie wobec niej były sformułowane, a obok tego są nowe grupy zawodowe, nowe grupy robotnicze, które jednak nie mogą być traktowane jako robotnicy z powodu braku akulturacji etc., etc. Ten ton panował. Co więc było? Jak można było opisać to środowisko? Czy tak jak pan przewodniczący powiedział: polskich pracowników raczej, zostaniemy przez chwilę przy tej grupie? Otóż najbardziej znaczące badania, jakie były w Polsce przeprowadzone, to są badania i analizy bardzo śmiałe zresztą, uogólnienia Stefana Nowaka i socjologów zgrupowanych wokół Stefana Nowaka, którzy próbowali zrekonstruować stosunek do pracy, świat wartości, więzi społecznej, w jakiej zanurzona była i polska klasa robotnicza, i polscy pracownicy. Są znane takie tezy o edukacyjnym sukcesie realnego socjalizmu, przede wszystkim polegające na tym, że została zinternalizowana norma egalitarna: równość stała się normą. Po drugie, jak pisał Nowak, przyzwyczajono się do tego, że społeczeństwo zostało rozbite na grupy pierwotne rodzinne, towarzyskie, przy bardzo słabych więziach instytucjonalnych, które to rozbitcie

dawało efekt w postaci rozchwiania norm moralnych, relatywizmu moralnego, to są sprawy znane i bardzo dokładnie badane przez socjologów przemysłu. Przede wszystkim chodzi o sytuacje w zakładach pracy, w których praca przestała być wartością z powodu tego, że pracy było nadmiar, pracy się nie szanowało. I to dawało w efekcie stosunek, który można określić mianem demoralizacji pracy. Badania, które były wtedy robione, to były przede wszystkim badania, które prowadził Kazimierz Doktor, jak państwo świetnie wiecie, wstyd o tym mówić głośno, ale jednak powiem, młody socjolog, który trafił do wydziału narzędziowego w Cegielskim dlatego, że przed socjologią skończył technikum mechaniczne i stąd ten jego wyśmienity opis sytuacji socjalistycznego przedsiębiorstwa. Gdy czyta się tę książkę, to widać, jak bardzo prekursorska jest w stosunku do studiów, które były robione w odniesieniu do przykładów węgierskich, w każdym razie widać, jak bardzo skomplikowanym problemem była ówczesna klasa robotnicza. Ja przypomnę badania robione pod koniec lat 50-tych właśnie w serii Szczepańskiego, kiedy to okazało się, że starzy robotnicy ci z WFN, a więc przedwojennej fabryki karabinów, przeżywają wielkie frustracje z powodu tego, że okazuje się, że ich niezwykle rzetelny stosunek do własnej pracy, szacunek do własnej pracy przestaje być premiowany, przestają być nagradzani za rzetelną pracę dlatego, że ciężący nad wszystkim plan powoduje, że wygrywana ten, który jest gotów zrobić z gorszego materiału szybciej, licząc, że kontrola jakości to przepuści, a kontrola jakości wiedziała że przepuścić musi, bo inaczej nie wykona się planu.

Koło się zamykało. I ten, który pracowicie i rzetelnie wykonywał swoją robotę, o którym sądzono, że pamiętający dramat lat 30-tych, bezrobocie i to co było przed wojną, będzie się identyfikował się z Polską Ludową, a tu się okazało, że w wymiarze pracy tej identyfikacji nie ma dlatego, że ci starzy robotnicy zderzyli się z nowymi robotnikami szybko nauczonymi tej patologicznej gospodarki planowej. I gdy myśmy robili badania jeszcze w latach 80-tych, wtedy spotykaliśmy w zakładach pracy tego typu stereotyp podawany z robotnika do robotnika, czyli: rozmawia się z robotnikiem powiedzmy takim trzydziestoparoletnim i on mówi zwykle tak: tu byli ci starzy robotnicy przedwojenni albo mówili: o tam, na narzędziowni jest jeszcze taki stary robotnik. Stary robotnik, to znaczy własna teczka wyświechtana, ale bardzo solidna i skórzana, własne narzędzia, nie oddawanie do narzędziowni, ktoś kto się cieszył dużym mirem, ale jednocześnie był traktowany jak egzotyczny ptak, jego wzór nie był przekazywany, on był pod pewną – można powiedzieć – taką miłą ochroną, ale było wiadomo, że to nie on pozwala wyrabiać premię. Ta sytuacja pod koniec autorytarnego socjalizmu, jeżeli państwo pozwolicie zostaną przy tym określeniu - ideologiczny komunizm jest fatalny, realny socjalizm mi się nie podoba, bo też jestem bliski socjalizmowi, a to jednak była dyktatura, pod koniec autorytarnego socjalizmu było szereg badań, które prowadził Tomek Żukowski potem z Federowiczem w zakładach pracy trochę inspirowani przez Kazimierza Doktora – była taka znana teza Kazimierza Doktora o tamtejszej klasie robotniczej, wielkoprzemysłowej, on

mianowicie dzięki swojej wyjątkowej wrażliwości na sytuację robotniczą pierwszy opisał zjawisko iż do średniego nadzoru, czyli do mistrza zmianowego, niższe stanowiska w nadzorze nie reprezentują rzeczywistości zarządu dyrekcji wobec robotników, a przeciwnie są reprezentantami załogi wobec dyrekcji, oni budują identyfikacje w dół, a nie w górę. Myśmy potem to obserwowali w fabryce, robiliśmy badania u Thompsona i tam w tej fabryce mówiono nam, mówił nam taki Polak z pochodzenia menadżer do spraw pracowniczych, jak bardzo trudno było złamać tę ustaloną relację między nadzorem a pracownikami i opowiadał dość ponure historie, jak wywożono tych mistrzów, przekonywano ich, że teraz będzie inaczej, podwyższano im pensję, przesuwano pomiędzy stanowiskami, uważając że my to będziemy traktowali jako dowód nowoczesności, bardzo entuzjastycznie nam opowiadał o tym, w jaki sposób próbowano łamać tę solidarność, która została po starym układzie, po starej fabryce. Solidarność solidarnością, ale z drugiej strony ten element pewnej roszczeniowości, demoralizacji pracy pozostał, to było niewątpliwe, myśmy badali ekonomikę fuch w tym ostatnim okresie. To samo w sobie, to zderzenie nieumiejętności czy wyuczonej nieumiejętności rozwiązywania wszystkiego co nie rutynowe, jeżeli to dotyczyło oficjalnej pracy, przy dużej zaradności, sprycie i właśnie takiej majsterkowiczości, jeżeli się odwoływało do świata prywatnego; myśmy taki eksperyment robili, sam go zresztą robiłem, miałem taką starą maszynę Singera z zepsutymi kółeczkami, te kółeczka były chytrze toczone, ja odrysowałem dość nieudolnie takie

kółeczko i eksperyment polegał na tym, że prosiło się robotników, po badaniach, robiliśmy badania na temat świadomości ekonomicznej a propos ekonomiki fuch, czy ktoś by nie mógłby nam zrobić takiego kółeczka. Żeby zrobić takie kółko trzeba było na dobrej tokarce to wytoczyć, potem to oksydować i obserwowanie jak się to odbywa, kto to robi, jaka jest później forma rewanżu za to, jaka fucha jest za pół litra wódki a jaka fucha jest za pieniądze, a gdzie to się kończy, bardzo ciekawy obszar, antropologia przedsiębiorstwa socjalistycznego od tej strony, zresztą u nas słabo opisana, na Węgrzech dobrze opisano, myśmy sami tego dostatecznie nie opisali. W każdym razie wyposażenie było bardzo dziwne, czyli to, co niosła ta klasa robotnicza, ale z pewnością było tak, że ona była zdecydowanie inna niż wcześniej sądzono, czy nawet w owym czasie intelektualiści sądzili. Ja chciałbym nawiązać teraz do bardzo znanej, głośnej tezy swojego czasu Stefana Kisielewskiego, on ją napisał na początku lat 80-tych, 83 czy 84 rok, mianowicie on wysunął tezę, że nie uda się zrobić reformy ekonomicznej w takim kraju jak Polska ze względu na to, że klasa robotnicza będzie broniła wielkich budów socjalizmu, nie uda się zrobić reformy, chyba żeby użyć metod dyktatorskich. Oczywiście, jak to u Kisielewskiego, było to przesadzone przez niego świadomie, prowokowane, niemniej ta teza dość się rozeszła. Ja pamiętam, jak później Smolar pisał, jak zrobić reformę w kraju, w którym jest 8 mln robotników, wielkoprzemysłowa klasa robotnicza powiedzmy miała 4,5, ale generalnie 8 mln robotników, duża część to pracownicy wielkich

przedsiębiorstw, jak zrobić reformę, która musi oznaczać racjonalizację, więc bezrobocie. Ja sam pamiętam, jak nam mówiono w zakładach pracy, ile osób jest zbędnych, oczywiście wtedy, kiedy przychodziliśmy na nieformalną rozmowę, kiedy już miałem wytoczone kółeczko i już byliśmy na ty i już wypiliśmy jakąś wódkę z robotnikami; zwykle 20 – 30 proc. to byli ludzie zbędni, gdyby tak racjonalizować, tak nam mówiono. Ja sam pamiętam zresztą pracę w hucie, bo na SGPiS myśmy mieli praktykę, ja miałem praktykę w Hucie Warszawa, bardzo sympatycznie to wspominam, bardzo sympatycznie nam się pracowało, ale to, że nie jest to racjonalna praca, czyli że trzyma się pracowników, którzy niekoniecznie muszą być - to jest rzecz oczywista, poza dyskusją. Problem, który się wtedy pojawił w dyskursie socjoekonomicznym, to był problem taki: jak wyglądają postawy, jakie są postawy pracowników, jakie są postawy robotników, zwłaszcza, jakie są postawy wielkoprzemysłowej klasy robotniczej i co będzie, jeżeli rzeczywiście przyjdzie robić reformę. Jeżeli państwo pamiętacie, były takie propozycje etapów reform, można było więc to badać, myśmy badali, co będzie, jeśli ta reforma, zwłaszcza reforma Rakowskiego niczym nie różniła poza tym, że pękła obręcz ideologiczno-ustrojowa, ale to była reforma bardzo daleko idąca, więc co będzie jeżeli taką reformę wprowadzimy, co będzie jeżeli zaczną się zamykać fabryki, a przede wszystkim, co będzie jeżeli wprowadzać się zaczną zasady rynku konkurencji, takiej gospodarki kapitalistycznej. Teza była taka z Kisielewskiego wywodzona, ta klasa nie zgodzi się na to, zaprotestuje, ta klasa wystąpi przeciwko. Okazało

się inaczej i okazało się inaczej o czym trochę już z badań wiedzieliśmy wcześniej dlatego, że wielkoprzemysłowa klasa robotnicza ma pewien problem ze swoją klasowością i ze swoją identyfikacją klasową i taką tezę stawiamy w badaniach późniejszych i teraz też udaje się stawić, że klasa robotnicza czy duże odłamy klasy robotniczej, a ściślej biorąc ludzi wykonujących zawody robotnicze i zaliczani do klasy robotniczej, klasę robotniczą wcześniej opuściły i wyraźnie przesuwają się ich identyfikacja ku niższym warstwom zawodów robotniczych, ku robotnikom niewykwalifikowanym. Natomiast jeśli chodzi o, nie chcę używać określenia arystokracja robotnicza, ale robotnicy wykwalifikowani, rzeczywiście dobrze wykwalifikowani robotnicy mają problem z identyfikacją siebie z klasą robotniczą właśnie. Na początku lat 90-tych wyglądało to w ten sposób: myśmy przyjmowali hipotezę za uniwersytetem, będą zwolennicy i przeciwnicy gospodarki rynkowej, będą zwolennicy rynku konkurencji i racjonalizacji i przeciwnicy, czyli mieliśmy takie narzędzie dychotomiczne: zbadajmy kto za, a kto przeciw. Okazało się bardzo szybko z naszych badań, że to jest bardzo mylne podejście i tworzy się artefakt czyli jeżeli narzuca się takie dychotomiczne narzędzie, to efektem będzie nie zbliżanie się do tego, kim oni są, ale oddalanie się właśnie od tej grupy. Okazało się bowiem, że zwolennikami i przeciwnikami w sumie jest może 1/4 środowiska robotniczego, może 30 proc., a przynajmniej połowa ulokowała się w bardzo interesującej... myśmy byli bardzo zadowoleni z profesorem Dylejką, z Tomkiem Żukowskim, to wyszło nam z badań najpierw jakościowych a

później z analiz danych z badań reprezentacyjnych kiedy zastosowaliśmy analizę czynnikową do sprawdzenia jak te relacje wyglądają. Okazało się mianowicie, że większość robotników to są ludzie, którzy myślą w sposób ambiwalentny, ale myślą nie w sposób bezrefleksyjny ambiwalentny, tylko duża grupa myśli w sposób ambiwalentny, czyli niespójny nielogiczny jeżeli zastosować proste schematy za i przeciw. To jest słynne wałęsowskie: jestem za, a nawet przeciw. Jestem na tak, jeśli chodzi o rynek w kategoriach ogólnych, globalnych, abstrakcyjnych, prywatyzacja też może być i racjonalizacja i konkurencja, natomiast, gdy pytamy o sprawy egzystencjonalne, bliższe ciału, wtedy okazuje się, że stawia się bariery; czyli może być zwalnianie z pracy zbędnych pracowników bo marnotrawstwo jest wielką chorobą i ludzie mają świetną świadomość tego, można likwidować fabryki, jeśli są bardzo marnotrawne, potem z tego zrezygnowano, to były lata wczesne 90-te, ale na pytanie: czy może pojawić się bezrobocie - kategoryczne odrzucenie. Czyli zamykać fabryki, zwalniać, ale bez bezrobocia, prywatyzować tak, ale pod warunkiem, że nie będzie to kapitał zagraniczny, a nie zagraniczny, bo wiedzieli nasi respondenci, że kapitał zagraniczny znaczy, że te 30 proc, a nawet 40 proc. zbędnych straci pracę i co prawda każdy uważał, że to on jest rzetelny, a straci pracę inny, ale generalnie obawiano się tego typu racjonalizacji, czyli okazało się, że w tym pierwszym okresie inicjalnym duża część polskiego świata robotniczego to są ludzie myślący ambiwalentnie, ale prorynkowo, a prosocjalistyczna alternatywa odpłynęła. To

nie znaczy, że na wprost zadane pytanie, myśmy zadawali takie pytanie od zawsze, do teraz je zadajemy, pytanie brzmi: „czy gdyby istniał socjalizm bez wypaczeń to byłby lepszy ustrój od kapitalizmu, czy nie” - obecnie na to pytanie odpowiada w środowisku robotniczym 30 – 32 proc., czyli dla 30 – 32 proc. słowo socjalizm nie jest nacechowane negatywnie. Gdy ja na SGH pytam moich studentów w ramach konfrontacji, komu się dobrze kojarzy socjalizm, nie podnosi się ani jedna ręka albo podnosi się ręka jakiegoś młodego, który chce występować jako oryginał. Czasami jest ktoś ze środowiska, ale to jest wyjątkowa sprawa. Natomiast w tym środowisku słowo to uległo, ale stosunkowo mniejszym stopniu niż w innych środowiskach, negatywnej stygmatyzacji. Gdyśmy badali na początku lat 90-tych około 50 proc. pozytywnie kojarzył się socjalizm. Z tym, że to podejście prorynkowe było ograniczone jedną najistotniejszą kwestią, która ciągle jest aktualna - w gospodarce rynkowej ma być równość. Proszę państwa, żeby nie zanudzać, bo ja bym mógł teraz wejść w okres przejściowy i długo na ten temat mówić, żebyście nie zasnęli, to ja opowiem o tym, co wynika z badań w 2007 rok, czyli to będzie z dużym uproszczeniem, no i fakt, że nie powiem o ewolucji paru kwestii, więc proszę wybaczyć, że uproszczę, więc proszę więc nie mieć za dużych pretensji do tego co powiem w sensie takim, że państwo zobaczycie, że są uproszczenia za duże. Otóż, po pierwsze, jeśli chodzi o podejście do gospodarki, to okazuje się, że nastąpiła pewna racjonalizacja poglądów, tak jak przez długi czas większość była taka ambiwalentna, to teraz już wiadomo,

że rynek i konkurencja równa się jako bezrobocie, tego nie da się uniknąć. I ktoś, kto jest za rynkiem i konkurencją i zwalnianiem wie, że to może rodzić koszty, które są niezawinione jednostkowo, to już wiadomo. Natomiast, jeśli chodzi o rozkład jakby pro i przeciw - to pro gospodarki kapitalistycznej z utrudnieniami jest większość tego środowiska z tym, że nieustannie większość tej większości i to znaczna jest za równością, czyli tak jak u Olgi Lipińskiej nasz kapitalizm ludzką powinien mieć twarz, była taka świetna piosenka, pamiętacie państwo zapewne, i to jest bardzo mocno akcentowane. I co więcej to wzrasta, wzrasta poparcie dla egalitaryzmu. Czyli gospodarka rynkowa i kapitalistyczna z prywatyzacją umiarkowaną tak, może nawet to pociągnąć bezrobocie, ale jednocześnie ten egalitaryzm jest bardzo mocno uwewnętrzniony. I zwłaszcza moi koledzy o takim bardziej liberalnym nastawieniu mają z tym problem, próbują sobie jakoś z tym poradzić, czemu to społeczeństwo jest tak nastawione egalitarnie jak jest. Ja mógłby odpowiedzieć, że środowiska pracownicze, myśmy zrobili badania, Polacy pracujący w 2007 r. i teraz właśnie będziemy publikować odpowiedź po części na to pytanie, to jest odpowiedź na to, jak identyfikują się klasowo pracownicy i jak postrzegają osie konfliktów społecznych. Jeśli chodzi o identyfikację to gdy zadaje się pytanie: komu tobie najbliższej, z kim gdzie nie ma dystansu a gdzie są dystanse, czyli gdzie są swoi, a gdzie są jakby obcy, to bardzo wyraźnie odtwarza się struktura klasowa. Robotnikom wykwalifikowanym, niewykwalifikowanym, rolnikom jest blisko do robotników wykwalifikowanych,

niewykwalifikowanym i rolników. Myśmy zrobili takie dość grube podziały, czyli grupy pośrednie, potem specjaliści, właściciele firm prywatnych i widać, że te identyfikacje, które w okresie realnego socjalizmu zwłaszcza w latach 60 - 70-tych, gdy było przemieszanie, one nie były tak wyraziste, one teraz stają się wyraziste. Stają się wyraziste w takim znaczeniu, że oddaliły się zawody jakby inteligentkie, są jakby nieswoje i to wyraźnie, bardzo klarownie to się dzieje. Czyli pierwsza sprawa, tak się to widzi. Teraz pytanie czy skoro tak się widzi, czyli skoro robotnikom nie jest blisko do pracodawców, to czy mamy do czynienia z odtwarzaniem się klasowej wizji społeczeństwa. Otóż nie. Gdy zadajemy pytanie i to zadajemy od lat pytanie: a gdzie są konflikty w społeczeństwie, to odpowiedź jest taka, a ten wskaźnik jest naprawdę bardzo poważnym zarzutem pod adresem tego ustroju który budujemy, mianowicie konflikt największy, podkreślany najczęściej to jest konflikt między rządzącymi a rządzonymi; myśmy dodali rząd, parlament a społeczeństwo, rząd a społeczeństwo, między rządem a społeczeństwem, parlamentem a społeczeństwem istnieje najwyższy poziom konfliktu, następnie bogaci – biedni, następnie uczciwi – nieuczciwi. I w tej samej tonacji, na tej samym wysokim poziomie ideologiczny konflikt. My zadajemy pytanie już od paru lat o konflikt między zwolennikami księdza Rydzyka i przeciwnikami księdza Rydzyka, bardzo wysoko to się lokuje, tuż koło bogatych i biednych. Myśmy kiedyś zadali pytanie między wierzącymi a niewierzącymi, okazało się że tu konfliktu żadnego nie ma. To trzeba być związanym z Rydzykiem czy

przeciwko, wówczas jest konflikt. Potem jest długa luka i mniej więcej to był poziom 60 – 80 proc.; konflikty, o których państwu mówiłem, długa, długa luka i pojawiają się konflikty między pracownikami a właścicielami przedsiębiorstw – 30 proc., pracownikami a właścicielami zagranicznych przedsiębiorstw około 30 proc. Wygląda to tak, jakby był taki świat industrialny, póki właściciel przedsiębiorstwa nie stanie się nielegitymizowanym bogaczem i nie przeskoczy do nieuczciwych rządzących bogatych, nie zostanie tak zdefiniowany, nie ma napięcia, nie przenosi się taki marksistowski konflikt klasowy, tu klasy nie grają. Klasy grają wtedy, kiedy pojawia się dodatkowa stygmatyzacja moralna „złodziej” i generalnie rządzący. To z rządzącymi, z rządem, parlamentem w kraju, w którym to społeczeństwo wybiera, to jest sprawa dość poważna, to jest pytania dość standardowe, one są zadawane przez wszystkie liczące się ośrodki, które ja znam, to jest pytanie o to, czy należysz do organizacji i czy chciałbyś należeć do organizacji. Na pytanie, czy należysz do organizacji od 82 do 96 proc. odpowiada: nie należę do żadnych organizacji. Jeżeli jest pytanie zamknięte, czyli przedstawia się tę organizację, powiedzmy Koło Łowieckie, Działkowców, to oczywiście ludzie powiedzą: a działkowcy mogą być moją organizacją. Jeżeli natomiast się mówi: należysz do organizacji, stowarzyszeń otwartych, to 6 proc. należy. W innym układzie niech będzie 18. Pozostałym zadaje się pytanie: czy nie należysz dlatego, bo nie ma takiej organizacji w zasięgu wzroku, ale gdyby była, to byś się zapisał - czy po prostu nie chce pan, pani należeć do żadnych organizacji. 80 proc. z

powiada, że nie chce należeć do żadnych organizacji. Czyli nie ufamy rządowi, konflikt a jednocześnie brak gotowości do tworzenia stowarzyszeń w skali masowej, oczywiście są stowarzyszenia, ale one są wciąż - jeżeli można tak powiedzieć – niedostateczne, czyli to nadal mamy zatomiastnienie na poziomie rodziny.

Leszek Lachowiecki: Będą mogli państwo zadać pytania konkretne panu profesorowi i wtedy będziemy wyciągać wiedzę, która jest dla państwa cenna. Myślę, że pojęcie „zagubiona klasa”, które wstawiliśmy do tytułu, nabrało rumieńców już po tym, co pan profesor powiedział, a teraz redaktor Pilawski spróbuje pokazać, jak sami robotnicy mówią o sobie.

Krzysztof Pilawski: Jestem winien wyjaśnienie tym towarzyszom, towarzyszkom i państwu zgromadzonemu, którzy mnie znają w innej postaci, że od momentu kiedy Leszek Miller zrzucił mnie z trybuny, wszedłem do konfesjonału i spowiadam ludzi. Efektem tych spowiedzi są m.in. te dwie książki. Pierwsza z nich nad którą pracowaliśmy razem z redaktorem Lachowieckim to są głównie wspomnienia byłych hutników warszawskich. Druga książka to jest ta która jest tutaj, to jest książka dotycząca 100-lecia Warszawskiej Fabryki Pomp, znanego stołecznego zakładu. Tu jest pan dyrektor Kazimierz Łoś, który był i hutnikiem, i dyrektorem Fabryki Pomp, jest więc jakby wspólnym mianownikiem w obu tych pozycjach.

Leszek Lachowiecki:: Ale mamy też wśród nas byłego dyrektora Huty Warszawa, pana Tadeusza Konrada.

- Ja w przeciwieństwie do pana profesora zrobię to trochę nienaukowo, ponieważ jako były dziennikarz znam się na wszystkim, ale na pewno nie tak wnikliwie te wszystkie procesy śledzę i nie tymi instrumentami naukowymi. I chcę się z państwem podzielić kilkoma wrażeniami związanymi z literaturą dokumentu osobistego, to jest termin wprowadzony przez pana profesora Romana Zimanda w 90-tych, dawnego komunisty, później pracownika Instytutu Badań Literackich, który przeszedł na trochę inną opcję, przeciwną nawet, ale nie przeszkodziło mu to w żaden sposób być wybitną postacią, jeśli chodzi o swoje badania literackie. Pamiętniki były kiedyś narzędziem w rękach klas panujących: królów, magnaterii, księdza Kordeckiego; Pasek był tutaj przykładem drobnego szlachcica, który uczył się pisać i czytać łaciny i historii w Kolegium Jezuickim w Rawie Mazowieckiej. Pojawia się wiek XX - wiek oświecania klas dawniej nieoświeconych i tutaj tradycje Polski są w tym pamiętnikarstwie, upowszechnianiu pamiętnikarstwa - to trzeba przypomnieć tym bardziej, że upamiętniamy w ten sposób postać profesora Krzywickiego. Trochę się wstydzę mówić o metodzie biograficznej w socjologii, czyli wykorzystaniu pamiętników, literatury, dokumentu osobistego, dzienników, pamiętników, biografii, listów itd. do badań stricte socjologicznych. Już

Chałasiński pisał o wszelkich rafach z tym związanych, ale jest do jedna z metod - może nie głównych, ale pomocniczych, które pomagają w badaniu. I tutaj chciałbym przypomnieć, że w ogóle ta metoda jest związana z polską socjologią, w 1919 roku po angielsku, co prawda, ukazała się publikacja Znanieckiego i Amerykanina Williama Thomasa: „Chłop polski w Europie i Ameryce”, gdzie po raz pierwszy zastosowano tę metodę, a w 1923 r. w Poznaniu Znaniecki utworzył Polski Instytut Socjologiczny i po raz pierwszy trafił do robotnika i jego wspomnień. Ogłoszono konkurs na pamiętniki robotników. Nadesłano 149 prac, wziął w tym konkursie udział m.in. pan Jakub Wojciechowski, który otrzymał najwyższą nagrodę literacką w 1936 r. od Polskiej Akademii Literatury, znalazł się wśród największych, Boy-Żeleński okrzyknął go w ogóle klasykiem literatury, a jego pamiętniki „Życiorys własny robotnika” ocenił wyżej niż pamiętniki Jana Chryzostoma. Jeszcze na początku lat 90-tych został nakręcony film na motywach właśnie tych pamiętników, ale tam były głównie wątki erotyczne, a nie te klasowe, o których my dzisiaj mówimy. Na SGH do tej pory działa Instytut Gospodarstwa Społecznego, który założył profesor Krzywicki; pamiętniki bezrobotnych, pamiętniki emigrantów i pamiętniki, chłopów, to jego zasługa, 7 tomów pamiętników bezrobotnych, i pamiętniki nowego pokolenia nowych chłopów polskich. Chciałbym powiedzieć, że ta metoda nadal jest w Polsce stosowana: pamiętnikarstwo konkursowe. Jeśli państwo czytaliście „Politykę” niedawno był konkurs na „Pamiętniki wielkiej zmiany”. Jego uczestnicy mają we wspomnieniach odpowiedzieć na

pytania: jak państwo zapamiętali czas wielkich zmian, rozpad starego świata, przejście z jednego systemu do drugiego, zderzenie z nową gospodarką i demokracją, jak wyglądało państwa ówczesne życie prywatne, zawodowe, plany i marzenia. Ja zbierając te wspomnienia - chłopów nie ma, ale jest trochę świadectw osobistych robotników, w swojej analizie posłużę się głównie publikacją dotyczącą Fabryki Pomp, ponieważ tu jest świadectwo wyjątkowe, świadectwo robotnika, który podjął pracę w zakładach mechanicznych - inżyniera Stefana Twardowskiego, który w roku 1919 zaczął pracę, przeszedł na emeryturę w roku 1972, a wspomnieniami obejmuje jeszcze rok 80-ty. Fragmenty jego wspomnień były w monografii „Dzieje Pragi” wydanej w 70-tym roku, przez PWN. Tu jest więcej świadectw robotników, którzy pracowali w fabryce przed wojną, i to po prostu pomoże w omówieniu kilku problemów istotnych dla robotników. Pierwszy problem to jest, ja bym chciał po prostu porównać tak, jak oni to opisywali i parę kwestii zestawić ze sobą. Pierwsza kwestia ważna dla robotnika to jest przygotowanie zawodowe. Józef Raczek, jak miał 14 lat przyszedł do fabryki: był chłopcem na posyłki, później był uczniem, uczeń musiał wszystko robić, wszystkim usługiwać itd. ale postanowił się uczyć, jego ojciec go do tego motywował więc pracując poszedł do szkoły. I cóż on tutaj pisze: były dwie szkoły zawodowe, które uczyły wieczorowo w Warszawie. Dostać się do takiej strony było bardzo trudno i ten okres głównie ci fachowcy przedwojenni to byli półanalfabeci po kilku klasach, przyuczani do zawodu. Jeszcze w ostatnich latach XIX wieku Warszawę nazywano miastem

analfabetów, to były skutki jakby Powstania Styczniowego i to opóźnienie które, nie zostało nadrobione w Polsce międzywojennej ono też było w pierwszym okresie tych pierwszych 20 lat po wojnie mniej więcej. I tutaj robotnik wspomina, najwybitniejszy monter w tej fabryce: Pojechałem razem z ojcem do Siedlec (to blisko jego wsi było miasto) na egzaminy do szkoły zawodowej. Na jedno miejsce było 6 a może 7 kandydatów. Zdałem, ale za słabo, nie przyjęto mnie z braku miejsc. Znalazł szkołę zawodową w Wielkopolsce kilkaset kilometrów od rodzinnej wsi. I brak tych szkół skłonił tę fabrykę do otwarcia własnej szkoły przyzakładowej. Wspomina osoba, która z robotnika – ucznia stała się później, jest w tej chwili jednym z dyrektorów fabryki: Byliśmy uczniami na prawach pracowniczych. Formalnie zostałem zatrudniony w fabryce choć nie dostawałem pensji. Uczniom przysługiwał jednak tzw. deputat węglowy. To nie były duże pieniądze, ale pomocne w utrzymaniu w Warszawie. I ta szkoła przekształcała się, ona w pewnym momencie stała się i technikum, i zespołem szkół, i w latach 70-tych szkołę zasadniczą przekształcono w liceum zawodowe. No i wspomina pracownik tej szkoły: Wypuszczaliśmy tokarzy i ślusarzy z maturą. Czyli jakby pokazuje to jakby awans jeśli chodzi o wykształcenie tych ludzi. I tutaj to porównanie okresu przedwojennego i powojennego. Raczkó czyli ten robotnik przedwojenny: uczący się praktykant nie miał żadnych ulg w pracy, nie było zwolnień do szkoły, dopiero po godzinach normalnej pracy, prosto z fabryki uczeń jechał do szkoły, praca u Twardowskiego trwała od 7.30 do 16.30 z

jedną godziną przerwą obiadową. Przebywało się w fabryce 9 godzin, a do szkoły trzeba było stawić się na godzinę 18. Nikt się wtedy nie przejmował, że chłopiec nie jadł wtedy ciepłego obiadu albo nie miał czasu na przebranie się. I tutaj znowu ten monter o którym wspominałem, że uczył się w zasadniczej szkole zawodowej 400 kilometrów od domu, ukończył Technikum bo ten system oświaty był lepiej rozwinięty, o tym on sam pisze: Zajęcia w techniku odbywały się 3 razy w tygodniu. Ustawowo zakład pracy musiał dać do 6 godzin tygodniowo wolnego ze względu na kontynuowanie nauki. Kończyłem pracę dwie godziny przed szkołą, miałem do niej tylko dwa przystanki. Mogłem zjeść obiad, zajrzeć do zeszytu. W tej szkole były ogromne warsztaty, które imitowały czy były taką normalną fabryką w której uczniowie robili pompy, detale do tych pomp. Oprócz tego mieli korty tenisowe, oprócz tego mogli robić prawo jazdy, mogli wyjeżdżać na obozy. Po prywatyzacji szkoły i warsztaty podobnie jak w innych zakładach zlikwidowano. Obecnie w fabryce nie ma ludzi. To co pan profesor tutaj mówił o kwalifikacjach, kwalifikacje robotników wykształconych w PRL-u są kilkakrotnie wyższe niż kwalifikacje ludzi wykształconych ponieważ oni są prawie niekształceni. Także to jest punktu widzenia, zawsze patrzymy jak już mamy więcej lat na tę przeszłość inaczej. Z perspektywy lat 80-tych pan profesor mówił znakomicie. Z tej perspektywy to wygląda już nieco inaczej. Jeden szef Solidarności: nie ma nowego narybku, bo nie ma szkół kształcących typowych tokarzy, typowych monterów. Zdarza się, że przychodzą do nas ludzie po 50-tce, którzy skończyli

szkołę wiele lat temu, itd. Ponieważ mamy tych więcej nie będę się zatrzymywał. Płaca. Na początku lat XX-tych zarobki zżerała inflacja. Józef Krasnobędzki wspominał: Przez pewien czas w swoim życiu byłem milionerem, zarabiałem nawet miesięcznie nawet 18 milionów marek polskich, kilogram cukierków kosztował 2 miliony. Później czas koniunktury szybko się skończył, bo przyszedł wielki kryzys, tam nie było redukcji ale pracowano tam... oni byli krótko milionerami i krótko oni byli bardzo też im się dobrze powodziło, bo przyszedł kryzys, ale w drugiej połowie lat 30-tych były to jedne z najlepszych zarobków w Warszawie. Robotnicy zarabiali 2,60 – 2,70 na godzinę. Stawka godzinowa to było większe niż w Warszawskich Zakładach Zbrojeniowych, które wtedy płaciły najlepiej, było to więcej niż w sąsiednim PZO na przykład. Po nacjonalizacji stawkę godzinową zastąpił akord i wprowadzono nadgodziny. I tutaj szef Solidarności wspomina, to jest wspomnienie dotyczące, obejmujące lata 70-te. Zarobki w fabryce były bardzo dobre. Jak ktoś chciał i potrafił pracować nie narzekał. To ile kto zarobił nie było wtedy tajemnicą, płace były jawne, wywieszano listy z „trzynastkami” i „czternastkami”. Wystarczyło podzielić te sumy przez 12 miesięcy i można było łatwo wyliczyć kto ile zarabia niezależnie czy dyrektor czy robotnik. Trafiały się miesiące, że zarabiałem więcej niż dyrektor. Pan Tadeusz Sikora – tokarz miał pensję nawet o połowę wyższą niż dyrektor. Dawano go za przykład ile można u nas zarobić. Pan dyrektor Łoś jest akurat świadkiem, że ten pan Tadeusz Sikora zarabiał znacznie więcej niż on gdy był głównym dyrektorem tego zakładu.

Wspomnienia następnego robotnika, wybierałem osoby wyłącznie pracujące do tej pory, osoby które nie są byłymi robotnikami tylko aktualnymi o bardzo wysokich kwalifikacjach zawodowych, z przeszłością PZPR i solidarnościową: Gdy brałem ślub w 77-tym roku teść marynarz wód śródlądowych odchodził na emeryturę. Moja ówczesna pensja była trzy razy wyższa niż jego zarobki. Mogłem sam utrzymać 4-ro osobową rodzinę. Zarabiałem trzy a niekiedy cztery średnie krajowe. Pracowaliśmy 12 na 12 przez 6 dni w tygodniu. Ścigaliśmy się cały czas o normy, o to kto co dostanie do roboty. Bywało, że jeden drugiemu do oczu skakał, ale roboty nie dało się przerobić, itd. To już inny robotnik o możliwościowych co można było z tymi pieniędzmi zrobić: Po wojsku chodziłem z kolegami do baru na rogu Szwedzkiej i Stalowej na piwo. Kotlet schabowy kosztował 17,60, małe piwo 2,50. Jak się wzięło na dwóch skrzynkę to nie było problemu z zapłatą. Pamiętam wtedy jeszcze chodziły górale – banknoty 500 zł. Zaczynaliśmy w Walerku na Kondratowicza, tam wypijaliśmy po setce, potem jechaliśmy potańczyć do Niedźwiedzia na Placu Leńskiego, tam się płaciło grosze za wejście tzw. konsumpcję. Jak o 23 zamykali Niedźwiedzia jechaliśmy do Gastronomii w Alejach Jerozolimskich. Stamtąd wracałem do Rembertowa taksówką. Jeszcze mi reszta z „górala” zostawała. Tych świadectw tego typu jest oczywiście więcej i to nie było jednostkowe. Proporcje płace robotników i nie robotników, to jest jeden z inżynierów przypomina sobie taką sytuację: Zgodnie z ówczesną polityką konstruktor zarabiał mniej niż tokarz. Liczyła się przede wszystkim produkcja,

głównie o nią dbano. Tak było w całym kraju. Pamiętam opowieść kolegi ze studiów, który był kierownikiem jednego z odcinków budowy Elektrowni w Bełchatowie. Dostał polecenie zorganizowania kursu podwyższenia kwalifikacji dla monterów. Sprowadził prelegenta ze średnim wykształceniem, który przy tablicy tłumaczył kursantom jak obliczyć pole kwadratu, powierzchnię kuli itp. Słuchacze ziewali albo rozwiązywali krzyżówki. Pan prelegent zdenerwował się. Uprzedzali mnie, że będę miał takich głabów, którzy nic nie umieją i których nic nie interesuje. Wtedy jeden z kursantów podszedł do tablicy wziął kredę i pokazał panu prelegentowi, że zrobił błąd przy obliczaniu powierzchni kuli. Okazało się, że pan prelegent uczył inżynierów, którzy ukrywali swoje wykształcenie i pracowali na stanowiskach robotniczych bo dawały im trzy razy wyższe zarobki. Tego samego typu wspomnienie robotnika: Zakład liczył ponad tysiąc osób, a w dwóch wydziałach na produkcji było tylko trzysta. Widzieliśmy, że czapa administracyjna – to o czym mówił pan profesor - jest ogromna. Wtedy wszyscy biuraliści należeli do związków. Wiadomo to on rozdzielał wyjazdy na wczasy, z warsztatu nikt Bułgarii nie dostał. Jeździli tam tylko ci z białego domu jak nazywaliśmy biurowiec. Ale w końcu zarabiałem trzy razy więcej niż oni i mogłem sobie wczasy normalnie wykupić. Itd. Jeśli chodzi o dochody to oni odczuwali, że wtedy po prostu zarabiali duże pieniądze. To jest odczucia, ja tutaj nie mam zamiaru mierzyć siły nabywczej ich zarobków ówczesnych z obecnymi. Teraz przejdźmy do mieszkań. Pisze Raczko: większość załogi to byli ludzie mieszkający w bardzo trudnych

warunkach mieszkaniowych, z bardzo wysokim czynszem, w starych drewniakach, bez żadnych wygod na Targówku, Pelcowiźnie czy Szmulowiźnie. Bardzo, wszyscy starzy pracownicy podkreślają, że właściciel dbał o nich itd., kilku tym pracownikom pomógł w wybudowaniu takiego domu rodzinnego na peryferiach Warszawy czy poza Warszawą, bo Rembertów był już poza Warszawą. I sam Raczek otrzymał mieszkanie po nacjonalizacji na 50-lecie fabryki obchodzone w 1958 r. mimo, że była nacjonalizacja świętowano zawsze tradycję i tę nie słuszną przeszłość kapitalistyczną też. I w tym 58 roku była uroczystość i Raczek pisał: Za zasługi na polu zawodowym, społecznym z rąk z ministra Keja otrzymałem przyznany mi przez Radę Państwa Złoty Krzyż Zasługi a ponadto ustawową premię jubileuszową, 2-miesięczne pobory oraz mieszkanie z puli resortu w Alejach Jerozolimskich 63/27. Robotnik – tokarz, wtedy już mistrz, ale od bardzo krótkiego czasu. Ten 58 rok to był pierwszy przykład, pierwszy wypadek, kiedy po raz pierwszy od 50 lat robotnicy w tej fabryce dostawali odznaczenia państwowe. W 38-tym roku Krzyż Zasługi dostał właściciel. I tutaj mamy ten typowy układ tak jak w Hucie Warszawa, to wszędzie było podobne, w latach 60-tych po przeniesieniu, kiedyś był ten Annopol jak pamiętacie państwo dzielnica nędzy i wstydu, punkt po prostu na sumieniu ówczesnego prezydenta Warszawy Starzyńskiego, to pewno wiecie, tam wybudowali tę dzielnicę przemysłową i na polu znalazła się fabryka, na Bródnie budowano mieszkania. Wspomina ten obecny dyrektor, wtedy jeszcze człowiek pracujący na produkcji: W 71-tym ożeniłem się z dziewczyną z

rodzinnej wsi, zamieszkaliśmy razem, po roku wprowadziliśmy się do 57-metrowego mieszkania na Bródnie, spółdzielnia rozdelała pulę zakładow, a te typowały kandydatów na mieszkania. Formalności związane z przydziałem załatwiano się w spółdzielni. Koledzy z brygady pomogli w przeprowadzce. Po 9 latach od przyjazdu do Warszawy miałem ustabilizowane życie. Tytuł technika – no bo skończył jeszcze szkołę przyzakładową – pewną pracę, zaliczone wojsko, rodzinę, mieszkanie. Z tym, że oczywiście o te mieszkania nie było łatwo i emocje związane z mieszkaniami do tej pory są wśród tych ludzi, żyją. Przewodniczący Solidarności: Ci, którzy należeli do partii mieli łatwiej. Sekretarze obiecywali młodym, że jak się zapiszą dostaną mieszkanie. Paru kolegów wkrótce po otrzymaniu mieszkania oddało legitymację. To też jest jakby obrazek życia. Sprawy socjalne. W fabryce pracuje syn wspomnianego już przeze mnie pana Krasnodębskiego, który zaczynał pracę w 23-roku, znaczy ojciec jego. I on pracuje do tej pory. I ojciec był bardzo związany z tymi pompami, syn od wielu lat też jest związany. I on opowiada, relacjonuje opowieść ojca: Ojciec miał dużo dzieci, właściciel nieraz dorzucił mu trochę pieniędzy do koperty z wypłatą. Każdy pracownik dostawał pensję w kopercie. Przed Bożym Narodzeniem Twardowski rozdawał paczki w czasie uroczystej choinki w zakładzie. Tak wyglądały sprawy socjalne poza tymi mieszkaniami, poza tą pomocą w tej prywatnej fabryce, która była bardzo dobrze oceniana przez robotników, oni dawali przykłady innych fabryk, w których traktowano ludzi znacznie gorzej. I ten syn tego Krasnodębskiego Ryszarda obecny

pracownik, tak opowiada o działalności socjalnej w Warszawskiej Fabryce Pomp. Jedynie ci, którzy nie korzystali z zakładowych wczasów i nie posyłałi dzieci na zakładowe kolonie, miejsc starczało dla wszystkich. Gdy przyjechałem do Złockiego w pierwszej chwili pomyślałem, że to ośrodek jakiegoś ważnego ministerstwa a nie Warszawskiej Fabryki Pomp. Pokoje z łazienkami, balkonami i telewizorem. Pełen komfort. Bardzo lubiłem też jeździć na grzyby zakładowym autokarem. Za śmieszne pieniądze nieraz co tydzień wybieraliśmy się na Mazury w okolice Siemiatycz, znaleźmy dobre miejsca itd. Tutaj jeszcze jeden pan opowiada, szef branżowego związku zawodowego obecnie: Kiedyś wysłałem córkę na turnus do Złockiego. Gdy wróciła odebrałem z zakładu pieniądze za wczasy pod gruszą i wykupiłem za nie 10-dniowy pobyt w Różanie czyli w drugim ośrodku. Do tego zapłaciłem za wczasy w tym samym miejscu, które też częściowo dofinansowywał zakład. W ten sposób za niewielkie pieniądze zorganizowałem rodzinne wakacje. I to samo stało się, zakład pracy w nowym systemie rynkowym stał się zakładem pracy a nie zakładem opieki socjalnej. I tak jak wszędzie to zlikwidowano. Tutaj bardzo istotna jest kwestia, bo przechodzimy do roku 80-tego, ja myślę, że w przyszłych badaniach socjologicznych, naukowych a nie para naukowych czy pseudonaukowych dywagacjach moich być może ten, nie jestem przekonany, że wróci, niekoniecznie sprawdzi się moja teza, której nie chcę tu uogólniać, ale demoralizacja miała bardzo duży moim zdaniem wpływ i nie można oceniać działalności Solidarności od 80-roku bez uwzględnienia

problemu demoralizacji. Józef Raczek o dyscyplinie. W szkole to w ogóle nie było to pomyślenia, żeby on w tej szkole cokolwiek tam zachował się nie tak. Już w latach 60-tych wybitny modelarz, człowiek, który robił modele do form detali do pomp, zauważył: nie wszyscy przykładali się do nauki, niektórzy przychodzili do szkoły jedynie dla rozrywki. W latach 70-tych to zjawisko przybrało na sile. I znowu ten szef OPZZ-towskiego związku opowiada o sobie w szkole: Nauczyciele pamiętali mojego brata. Na początku pytali: a tym masz brata? Tak - odpowiadałem. On był dobrym uczniem, a ty jaki będziesz? I odpowiedź - to się dopiero okaże. Inny robotnik wspomina wagary: naszym ulubionym miejscem w okolicy szkoły na Zwycięzców był park Skaryszewski. Jednak trudno się tam urwać na wagary, bo ganiali. Teren parku patrolowała milicja i trójki klasowe. Sprawdzali dlaczego to młodzież się nie uczy. Musieliśmy się kryć, bezpieczniej było przechować się w kinie Praha. I ten wybitny monter, najwybitniejszy w fabryce, który uczył się 400 kilometrów od domu, w szkole zawodowej, w drugiej połowie lat 70-tych dyscyplina z winy najmłodszych pracowników siadła. Młodym po szkole ciągle uciekały z przed nosa tramwaje i autobusy, spóźniały się albo wypadały z rozkładu pociągów. Młody pracownik przydzielony do brygady nieraz chował się na stacji I spał. My tymczasem zachodziliśmy w głowę gdzie się podział. Przecież mamy głębokie zbiorniki z wodą. Może się poślizgnął się i wpadł? Rzucaliśmy pracę, szukaliśmy młodego, a on spał. Taki pracownik niekiedy skarżył się niekiedy w domu, że go gonią do roboty, wykorzystują i wyciskują. Jeszcze Raczek:

Jeszcze do 24-go roku zdarzały się wypadki wymierzania kar przez czeladników. Widziałem właśnie taki wypadek uderzenia chłopca Stefana S. ręką w twarz. Bronisław Perkowski, inny przedwojenny pracownik: właściciel zwracał baczną uwagę na jakość produkowanych pomp, ale nie było kontroli wewnętrznej, ponieważ każdy z pracowników sam dbał o jakość produkowanych wyrobów. Jeżeli ktoś spartaczył robotę to i tak było wiadomo kto zrobił, dlatego, że każdy robotnik osobiście kwitował odbiór materiałów. To zjawisko demoralizacji i jeden z panów opowiada tak: mistrz zlecił mi pilną rzecz do wykonania, nie pasowało mi więc powiedziałem, że nie dam rady bo mam robotę na maszynie. Majster wyjął z kieszeni talon na 100 złotych. Zrobiłem tego samego dnia i wymieniłem talon na banknot. Tutaj jest pan dyrektor, który podaje przykład kiedy motywował robotnika, żeby zrobić bardzo pilną rzecz dla elektrowni w Koziencicach. Groziło wielomilionowymi stratami i on to zrobił, ale robotnicy czuli się... z resztą już ten pan Sikora to już był ten właśnie pan, który zarabiał znacznie więcej niż pan dyrektor. Te rzeczy prowadziły do demoralizacji, to też przypuszczam było powszechniejsze w tym zakładzie. Ostatni temat: polityka. W okresie między wojennym w fabryce nie strajkowano, potrafili się nawet w okresie wielkiego kryzysu ułożyć z pracodawcą, zrezygnowali z części zarobków itd. Mimo, że tam byli członkowie Polskiej Partii Socjalistycznej, Komunistycznej Partii Polski. I tam byli bardzo różni ludzie. Później najwybitniejszy z robotników przedwojennych poparł nacjonalizację. Nie sprzeciwiali się przeciwko nacjonalizacjom i

przeciwko eksmisji właściciela, który mieszkał w domu wybudowanym przez siebie tuż przy fabryce. Jacy to byli właśnie, Raczek wspomina tutaj jednego z tych, to był najwybitniejszy tokarz w fabryce przed wojną, po wojnie włączył się w budowę nowego ustroju. To było zdarzenie z roku 20-tego: Pewnego dnia zakonnica przyprowadziła z zakonnego domu wychowawczego na praktykę 14-letniego chłopca, był bardzo małego wzrostu. Przez pewien czas zakonnica przyprowadzała go do zakładu trzymając za rękę jak przedszkolaka. Żeby mógł dosięgnąć do tokarki dawano mu pod nogi podwyżkę, podest. Sprytny był, uczył się dobrze i szybko. Był znakomitym tokarzem, życzliwym, uczynnym, bardzo grzecznym i przyjemnym człowiekiem. Takim całe życie pozostał. Miał na imię Bonifacy. Mówiliśmy do niego Bonuś albo panie Bonusie. Życie człowieka może zmienić. Bonuś posiadał chęć do czytania dzieł poważnych i nic dziwnego, że osiągnął później wielką znajomość ideologii Marksa. Był stałym naszym delegatem, przedwojennym przedstawicielem do rozmów z właścicielem, tam też byli też członkowie PPS-u, uczestnicy rewolucji 5-tego roku. Oni też byli wszyscy oni później po 45-tym roku włączyli się w ten nurt zmian. Później, obecnie we wspomnieniach robotników zwłaszcza tych którzy nie byli w PZPR, przebija ten ton, że ci z PZPR mieli lepiej od tych którzy do partii nie należeli. Ten najwybitniejszy monter: Nie znalazłem się w gronie tych, którzy dostali przydział na mieszkanie, może dlatego, że nie należałem do partii, koledzy którzy należeli mieli większe szanse na mieszkanie, częściej ode mnie wyjeżdżali za granicę na kontrakty. Nigdy nie chciałem zapisywać się

do żadnej grupy żeby załatwić coś w sposób kombinacyjny. Według szefa Solidarności do związku należało 70 proc. załogi – do pierwszej Solidarności. Po ogłoszeniu stanu wojennego internowano przewodniczącego i wiceprzewodniczącego komisji zakładowej, sekretarz związku ukrywał się, zbieraliśmy pieniądze dla rodzin internowanych, kolportowaliśmy ulotki i gazetki pod pretekstem cechowani detali urządzaliśmy krótkie strajki Solidarności z internowanymi. Byłem z tego powodu wzywany na rozmowy ostrzegawcze, ale większych przykrości nie miałem. I teraz ocena, elementy porównywania sytuacji tamtej z obecną. Po zmianie ustroju i wznowieniu legalnej działalności – mówi przewodniczący Solidarności – przez Solidarność i wznowienie legalnej działalności przez Solidarność nie sądziliśmy, że fabryka po kilku latach znajdzie się w tak trudnej sytuacji, tam większość załogi musiała odejść. To samo było w Hucie Warszawa. To wszystko są zjawiska jakby typowe. Brakowało zamówień, płace siadły, ludzie nie mieli co robić, załoga przeżywała kolejne fale zwolnień. I tutaj uderzające są podobieństwa z opisem pozostawionym przez Raczkę wielkiego kryzysu kiedy on opisuje wtedy tak samo brak zamówień i te dramatyczne chwile ich życia. I ten najwybitniejszy monter, który mówił, że nie należał do żadnej grupy, nie był PZPR, mówili o PRL tak: Ludzie różnie mówią o tamtych czasach, ale ja nie mam wielu powodów do narzekań choć nie kiedy czułem się pomijany, znalazłem się wysoko w hierarchii, udało mi się kilka razy wyjechać do pracy zagranicą. Obecnie o sytuacji: Nie podoba mi się wyprzedaż polskiego

przemysłu. Gdy sprzedam samochód to wiem, że mój domowy budżet się poprawi. Kiedyś w Polsce prawie wszystko było państwowe, fabryki, huty, banki, dystrybucja energii. Państwo sprzedawało zakłady, ale jego zadłużenie jest znacznie większe niż kiedyś. Gdzie się podziały pieniądze? Wybitny modelarz, też bezpartyjny o PRL, członek Solidarności: Mimo, że nie miałem dojsć by otrzymać mieszkanie czułem się doceniany. Przez szereg lat czułem się elitą. Dostawałem dobrą pensję, przełożeni chwalili mnie, mam książki z dedykacjami i wiele dyplomów od dyrekcji itd. O III RP: nie może pogodzić się z upadkiem szkolnictwa, nie ma następców. Nie ma w tej chwili ludzi, którzy podolaliby tej pracy. Zawdzięczamy to m.in. decyzji o likwidacji szkolnictwa zawodowego, od lat nie kształci się modelarzy. I jeszcze ostatnia już wypowiedź robotnika: Strasznie gniecie mnie polityka. W Solidarności walczyliśmy, bo myśleliśmy że będzie lepiej. Byłem mężem zaufania związku w wyborach 89-tego roku. Zachowałem wszystkie plakietki z tamtych czasów, ale od dawna ich nie wyjmuję. To jest ten problem oceny sytuacji. Gdyby to było 20 lat temu ci ludzie zapewne trochę inaczej mówili. Uderzyło mnie podobieństwo, ponieważ tutaj miałem dużo kontaktów, nie ma tu odzwierciedlenia w tej książce ponieważ byłem stałym bywalcem na osiedlu hutniczym, relacje są bardzo podobne i odczucia są bardzo podobne. Identyfikacja grupowa jest ogromna, ta arystokracja robotnicza, ci wysoko wykwalifikowani robotnicy, oni gdyby ktoś o nich powiedział: klasa robotnicza na pewno by się nie obrazili. Dziękuję bardzo.

Leszek Iachowiecki Ja tylko dodam, że w badaniach profesora Henryka Domańskiego między 1992 rokiem czyli prawie początkiem transformacji a 2005 jedyną wielką grupą społeczną czy klasą jak Henryk Domański ją nazywa, robotników która straciła na transformacji byli właśnie robotnicy, których dochody spadły z 0,84 punkta procentowego do 0,77 punkta procentowego w stosunku średniej krajowej.

Halina Szerszeń: Jestem radną od 14 lat dzielnicy Bielany, dzielnicy, gdzie posadowiona jest Huta. I tak od ponad 40 lat mieszkam na Bielanych. W Hucie zaczęłam pracować jako stażystka po maturze, tam odbyłam staż pracy, który polegał na przeglądzie czy też zwiedzaniu, jak również pracy na kilku wydziałach produkcyjnych; mimo, że pracowałam w biurze, musiałam odwiedzać hale produkcyjne, gdzie miałam kontakt z robotnikami, z robotnikami również. Widziałam, jak budowała się w Huta, ponieważ jeszcze w latach 70-tych, kiedy zaczęłam pracę, Huta była na etapie, tak mi się wydaje, pewnego rozwoju. Widziałam, jak budowały się osiedla, jak urbanizowała się północna część ówczesnego Żoliborza, wielkiego Żoliborza, Huta wówczas była na Żoliborzu, podział na Bielany nastąpił znacznie później w latach 90-tych. W Hucie znalazło zatrudnienie 10 tys. ludzi w najlepszym okresie zakładu. Biorąc pod uwagę fluktuację, jaka była w hucie, można powiedzieć, że 40 tys. pracowników przewinęło się przez ten zakład, czyli korzystało z dóbr dużego

zakładu przemysłowego. Huta była wówczas bardzo ważnym projektem społecznym. Do Huty przyjeżdżali ludzie z całej Polski, różnych zawodów i z różną przeszłością. Huta jawiła się jako miejsce, gdzie można zdobyć wykształcenie, gdzie można zdobyć dobrze płatną pracę, gdzie można było przygotować się do awansu społecznego; na przykładzie losów opisanych w książce, którą pan redaktor Pilawski przedstawiał, można stwierdzić, że dla wielu ludzi Huta była szkołą życia, miejscem pracy, miejscem również, gdzie były warunki do wypoczynku. Huta budowała ośrodki wypoczynkowe, współpracowała w budowie przedszkoli, miała patronat na kilkoma przedszkolami, które znajdowały się w okolicy Huty. Zacytuję fragment wypowiedzi jednego z współautorów książki, który relacjonując swoje losy, opowiadając o tym, jak pracował w Hucie, napisał: „Pokazywano nas w telewizji, pisały o nas gazety, przypinano nam ordery. I tak też można było powiedzieć, Huta była obok FSO przodującym zakładem w Warszawie. Hutnicy często byli na piedestale. Często wizytowani byli przez najwyższe władze państwowe. Mówiło się często Huta – matka ponieważ Huta dawała pracę, Huta pomogła zdobyć wykształcenie, Huta mogła dać mieszkanie, oczywiście problem mieszkania tutaj poruszał pan Pilawski, podobna sytuacja była w Hucie Warszawa, nie wszyscy mogli uzyskać mieszkanie, niemniej jednak taka możliwość była i wiele osób z tego korzystało. Huta była mecenasem kultury, nawet tej wielkiej kultury poprzez różne organizacje, które na terenie Huty działały, współdziałały, była to orkiestra hutnicza, był to Klub Motorowy

„Marten”, klub szachowy, sekcje teatralne i wiele innych nieformalnych grup, nie wspominając o hutniczym klubie sportowym Hutnik, który miał znaczne osiągnięcia i był reprezentacyjną grupą sportową dla hutników. Należy wspomnieć również o opiece społecznej. Szpital nieopodal Huty wyposażony bardzo dobrze, specjaliści bardzo dobrzy, sale operacyjne do dyspozycji hutników. W Hucie można było dostać bilety do kina, do teatru, na koncerty i zakład taki jak Huta był w pewnym sensie mecenasem kultury, bo tak można było powiedzieć. Na chwilę wrócę do swojego życiorysu, bo to też ma znaczenie w tym kontekście. W czasie pracy w Hucie skończyłam wydział dziennikarstwa i nauk politycznych na Uniwersytecie Warszawskim, pisałam pracę magisterską na temat adaptacji kobiet do pracy w przemyśle. Na przykładzie wydziału ciągarni, która zatrudniała bardzo dużo kobiet, bo 135, losowo wybrałam 100 i na podstawie tych badań okazało się, że kobiety pracujące w Hucie, wydawałoby się przy ciężkich pracach, są bardzo zadowolone z tego, co robią. Mają poczucie bezpieczeństwa, mają poczucie przynależności do grupy. Miały świadomość pewnego ogniwa, które łączy się w całość. Miały poczucie bezpieczeństwa w sensie takim, że dzieci, którymi się opiekowały, mogły korzystać z przedszkola tuż obok zakładu pracy, ponieważ Huta jak wspomniałam, miała patronat nad kilkoma przedszkolami; mogły też chodzić do szkoły, zasadnicza szkoły zawodowa, technikum przy Hucie, Akademia Górniczo-Hutnicza, która stała otworem dla młodych zdolnych hutników, akademia która szkoliła inżynierów. Tak więc, gdy mówimy o klasie

robotniczej to można powiedzieć, że była to ta klasa, która miała pewne przywileje i była przodującą klasą w hucie. Ja pamiętam, że administracja, bo do takiej się zaliczałam, była tzw. służba pomocnicza, a przydział wczasów czy mieszkania czy innych przywilejów był przeznaczony przede wszystkim dla robotników. Jeśli chodzi o środowisko, z którym się spotykałam, oczywiście miałam świadomość, że jest to określona grupa, która miała swój język, swoje obyczaje i swoją również kulturę. A propos kultury w 1982 r. powierzono mi stanowisko dyrektora w Dzielnicowym Centrum Kultury Robotniczej. Był to ośrodek posadowiony w centrum osiedla hutniczego. Działalność tego ośrodka skupiała się wokół robotników. Tam działał klub robotników piszących, stowarzyszenie twórców nieprofesjonalnych i inne grupy nieformalne, które się zajmowały kulturą. Dom Kultury oprócz tego nadzorował czy też prowadził działalność w tzw. Lasku Bielańskim, gdzie wśród jeszcze wtedy zdrowych drzew, były dwie estrady - dla dzieci i dorosłych. Od maja do września na tychże estradach odbywały się imprezy zgodnie z profilem dla dzieci i dorosłych. Przyszedł potem taki czas, że ówczesny prezydent Warszawy generał Dembicki - jeśli się nie mylę - wydał dyspozycję likwidacji tychże estrad, oficjalna interpretacja była taka, że stwarzają zagrożenia ekologiczne dla niektórych gatunków roślin, w każdym razie była to spora strata, jeśli chodzi o działalność kulturalną. W Domu kultury były sekcje szachowe, była czytelnia prasy, wypożyczalnia rowerów. W każdym razie to były takie placówki, które żyły i które były do dyspozycji przede wszystkim hutników,

ponieważ zlokalizowano je naprzeciwko osiedla hutniczego. Właściwie mogłabym mówić na ten temat, ale mam tylko 10 minut, już na pewno wykorzystałam z 5, to wszystko co powiedziałam to było. Ja mam taką refleksję, że właściwie ta książka panie dyrektorze jedna i druga jest poświęcona temu co było, to jest bardzo ważne, bo są pewne tematy, pewni ludzie, którzy mają wiedzę i to trzeba wykorzystać. A wydaje mi się, że należy się zainteresować jednak tym, co teraz jest wśród tych ludzi, jak oni żyją, jak oni sobie radzą z tą rzeczywistością. I właśnie na chwilę odniosę się do tego, ponieważ jestem radną czyli mam często spotkania z ludźmi, mam dyżury, mam spotkania z mieszkańcami, rozmawiam z ludźmi, gdzie zwracają się do mnie ze swoimi różnymi problemami ponieważ tak się pojmuję rolę radnego, zresztą tak też ja tę rolę pojmuję i chciałam państwu powiedzieć, jak wygląda to osiedle hutnicze, bo do tego chciałam się odnieść, jak wygląda, jak żyją tam ludzie. Po tej nieszczęsnej prywatyzacji, która się zakończyła tragedią i nieszczęściem dla tylu rodzin hutniczych, ponieważ większość ludzi musiała rozstać się z zakładem pracy, część przeszła na emerytury, część na renty, oczywiście emerytury ze starego portfela, przeważnie są to ludzie starzy i schorowani, którym brakuje pieniędzy na leki, np. zalegają z opłatami, jeżeli chodzi o opłaty za mieszkania, energii. Są to ludzie, którzy się czują wykluczeni. Oni nie są zrzeszeni w żadnej organizacji, zresztą – jak pan profesor tutaj relacjonował ł – nie jesteśmy gotowi albo nie chcemy się zrzeszać w organizacje, które być może rozstrzygałyby nasze problemy czy też

pomagały w codzienności. Z moich obserwacji wynika, że takie organizacje się tworzą, chociaż nie ma gotowości powtarzając słowa pana profesora – społeczeństwo nie jest gotowe. Przykładem, który może daje temu pogląd, daje pewną szansę, jeśli chodzi o hutę, jest powołanie stowarzyszenia byłych pracowników Huty Warszawa. Stowarzyszenie ostatnio odbyło nowe wybory, wybraliśmy nowego prezesa tego stowarzyszenia, jestem członkiem zarządu. Chcemy się skupić na tym, jakie są problemy właśnie w tym środowiskach, jak można pomóc, w jaki sposób można pomóc. I to jest, myślę, to zadanie, którym się zajmie Stowarzyszenie. Czasem są to naprawdę proste sprawy. Czasem kontakt z ośrodkiem pomocy – mówię o ludziach starych – czy rozmowa z panią, która jest osobą tzw. środowiskową z tego rejonu, pomaga w konkretnej sprawie, w konkretnym problemie życiowym. Mam jeszcze taką refleksję, która mi właściwie nie daje mi spokoju. Mianowicie obserwuję na osiedlu człowieka, który jest rencistą, który zagląda do śmietników i który coś tam w śmietnikach grzebie. Jest mi przykro ponieważ znam tego człowieka, on był inżynierem na wydziale bodajże stalowni, a teraz jest starym schorowanym człowiekiem grzebiącym w śmietniku. I to jest coś takiego, co powinno mobilizować myślenie nas wszystkich, może partie, może stowarzyszenia, do tego, żeby pomóc temu człowiekowi, żeby poszukać narzędzi i pomocy takim ludziom. I tym niestety nieoptymistycznym akcentem chciałam zakończyć.

Leszek Iachowiecki: To prawie symbol: były inżynier – inżynierem jest się do końca życia – grzebiący w śmietniku. Dodam jeszcze, że obecna Huta ArcelorMittal Warszawa zatrudnia 700 pracowników na etatach, około 600 na tzw. outsorsingu, i modernizuje się - w ten czwartek otwiera nowy wydział, bardzo nowoczesny, który ma zatrudniać 80 osób. Ustaliliśmy, że na zachodzie tego typu ciąg technologiczny potrafi obsłużyć 5 specjalistów. To daje pewną perspektywę zmian nieuchronnych. Proszę państwa myśleć, że nasi paneliści dostarczyli państwu bardzo wiele materiałów do poważnych i głębokich refleksji, zgłosił się jako pierwszy w dyskusji Jacek Sochan.

Jacek Sochan: Ja chciałem podzielić się dwiema refleksjami, zarówno jeśli chodzi o prace społeczne i o Hutę Warszawa, które są związane z miejscem gdzie mieszkałem, dorastałem jako nastolatek, to właśnie były Bielany i okolice Huty. I powiem tak: – oczywiście mówię o swoich rówieśnikach i ludziach związanych z Hutą – to przede wszystkim dwa spostrzeżenia, które do dzisiaj pamiętam, że moi rówieśnicy, którzy bardzo często byli właśnie dziećmi robotników, byli bardzo nieporadni. Grupy tych osób, synów robotników, w porównaniu z nami byli bardzo nieporadni w takim życiu codziennym. Często nie potrafili sobie poradzić naprawdę z prostymi rzeczami. Bardzo szybko się poddawali. Natomiast drugą rzeczą, która ich charakteryzowała, to była silna identyfikacja jako grupy zwartej. Zresztą do dzisiaj to widać dlatego, że Hutnik Warszawa nie jest właściwie żadnym klubem piłkarskim, ciężko go nazwać

amatorskim klubem piłkarskim, to trzecia liga, ale mi chodzi o coś innego, bo ja tutaj nie mówię o całej Polsce, tylko o Warszawie, nie w porównaniu z Polonią czy Legią. Chodzi o to, że Hutnik Warszawa ma własnych kiboli, to jest niesamowite. Jak się pojedzie w te okolice Hut,y to tam nie ma napisu Legia czy Polonia, tylko jest napisane Hutnik Warszawa, czyli to są kibice Hutnika Warszawa. Ci ludzie bardzo potrzebują identyfikacji, bardzo się identyfikują z tym miejscem i wyrażają – zwłaszcza ci młodzi – że są kibicami Hutnika Warszawa i nie są kibicami innych drużyn i są bardzo mocno związani z tym wszystkim, co tam się dzieje. Natomiast drugie spostrzeżenie jest związane z lekturą książki o historii Huty, ja nie byłem świadkiem tych wszystkich wydarzeń z racji wieku, ale po przeczytaniu tej książki naszła mnie taka refleksja: wszyscy autorzy, którzy byli związani w jakiś sposób z Solidarnością koncentrowały się tylko i wyłącznie na opisywaniu momentu strajku bądź dochodzenia do strajku, tworzenia Solidarności. Nic więcej właściwie w tej kilkudziesięcioletniej historii pracy nie miało znaczenia. Wszystkie osoby, które nie były zaangażowane w Solidarność pisały o niesamowitej sprawie. Podobna sprawa dotyczyła mojej rodziny, ale to akurat nie było związane z Hutą, ale niesamowitej sprawy. Ci ludzie przyjechali z bardzo biednej prowincji i opisywali, w jaki sposób z bardzo ubogiego młodego człowieka przeistaczali się w człowieka, który ma szansę. Otóż nie o to chodzi, że oni odnieśli jakiś niesamowity sukces, ale po prostu zmienili perspektywę swojego życia, tzn. właściwie z takiego miejsca, gdzie nie mieli żadnego wyboru, bo albo mogli

zostać księdzem albo uprawiać rolę razem z rodzicami, okazało się, że mogą skończyć jakąś szkołę, gdzieś pójść dalej, rozwijać się. Właśnie to mnie uderzyło podczas lektury tej książki, że dla nich Solidarność nie była najważniejsza, ale to, co zmieniło im życie i dało im szansę. Dzisiaj młodym ludziom bardzo często brakuje takiego poczucia szansy. Często jest tak, że właściwie kończą szkołę i nie mają szansy skończenia wyższej uczelni. Jak czytałem te wspomnienia, to był całkiem ciekawy opis ich przeżyć, że nagle cały świat stoi przed nimi otworem. I teraz na zakończenie, że to środowisko, ta cała okolica będzie żywa do końca świata.

Krzysztof Pilawski: Ja chciałem tutaj tylko powiedzieć, bo pan poruszył bardzo ważny problem. Każde pokolenie – po pierwsze – pisze swoją historię tych samych wydarzeń zupełnie inaczej. I to co ja powiedziałem, że historię Solidarności napiszą ludzie, którzy nie byli w PZPR i nie byli w Solidarności, tylko po prostu biograficznie. I myślę, że jedna grupa z tych, którzy będą pisać tę historię, będą pisać tak, jak pan powiedział i wróci ten temat, o którym ja powiedziałem: Solidarność i demoralizacja.

Rafał Korzeniewski: W sobotę wybrałem się z „Gazetą Wyborczą” na wycieczkę do najbardziej robotniczego miasta, do Żyrardowa, na poszukiwanie klasy wielkoprzemysłowej robotniczej. Jedną z jej przedstawicielek udało mi się nawet zobaczyć przy pracy.... Ale okazało się, że tych przedstawicieli

wielkoprzemysłowej klasy robotniczej, przemysłu włóknierskiego zostało mniej niż 50, bo 50 ludzi jest zatrudnionych na etatach w tej fabryce. Większość hal fabrycznych albo jest przerabiana, albo będzie przerabiana na lokale. Żyrardów powoli staje się sypialnią nawet nie dla Warszawy, ale dokładnie dla centrum Warszawy, bo tam jest najlepszy dojazd do centrum Warszawy. Jest nawet zarzewie bardzo poważnego społecznego konfliktu. ponieważ developerzy pożądlwym wzrokiem patrzą na dawne osiedle robotnicze o czym zresztą ich przedstawiciel mówił na spotkaniu, że mieszka tam element i trzeba się go stamtąd pozbyć, bo temu osiedlu grozi degeneracja, natomiast ono jest bardzo atrakcyjne z punktu widzenia przekształcenia i rewaloryzacji. Natomiast to, co z punktu widzenia tej dyskusji, którą tu toczyliśmy było najbardziej szokujące, to pomnik strajku szpularek, który miał tam miejsce w Żyrardowie w latach 80-tych, jeden z pierwszych wielkich strajków, który był strajkiem o charakterze czysto ekonomicznym i mógłby być z powodzeniem traktowany jako przykład budzenia się świadomości klasowej. Problem w tym, że ten pomnik taki okazał się ładny, wystawił developer przed oddanym już do użytku lokum. Otóż mamy z klasą robotniczą problem, to, co było traktowane jako punkt wyjścia do definiowania konfliktu klasowego, dzisiaj jest traktowane na zasadzie sprawiedliwe – niesprawiedliwe. Właściciel, przedsiębiorca, wystawia pomnik strajkującym, bo traktuje, że on jest po stronie sprawiedliwości. I pytanie do wszystkich tutaj, pytanie dla mnie najbardziej zasadnicze. Ja nie neguję istnienia klasy robotniczej z punktu widzenia nauki, natomiast czy pojęcie klasy

robotniczej jest do czegośkolwiek użyteczne z punktu widzenia polityki, czy wobec tego, że mamy mnóstwo konfliktów społecznych - czy ktokolwiek w tych konfliktach społecznych definiuje swoje stanowisko: ja jestem po tej stronie dlatego, że ja jestem przedstawicielem klasy robotniczej ? Czy to definiuje czyjąkolwiek postawę i to z punktu widzenia polityki ? Niebezpieczeństwo jest takie, że grozi nam polityka na lewicy patriarchalna, politycy lewicowi będą występować w obronie klasy robotniczej jako tacy dobrzy wujkowie: my wiemy lepiej, co wam potrzeba. I ci, w imieniu których występują, oni przestają być podmiotem, oni są przedmiotem działań polityki lewicowej, bo oni sami nie definiują swoich interesów jako przedstawiciele klasy robotniczej, a robiłby to za nich SLD.

Prof. Jolanta Supińska: Po pierwsze powiem, że jest to skandal, że ostatnia stacja metra nie nazywa się Huta. Zdaje się, że były jakieś zabiegi; dlaczego się tego obawiać, że się uczi wielką budowę socjalizmu, uczi się przemijający przemysł ciężki. Skoro jest klub sportowy to i stacja metra...

Leszek Lachowiecki: Chodzą słuchy, że na miejscu 320 hektarowej Huty staną osiedla, wielkie osiedla, które wejdą w Kampinos.

Jolanta Supińska: Ale póki co Huta istnieje. Poza tym drugie moje pytanie, ja mam ciągle z Marymontu, z 18 piętra akurat mam widok na kominy Huty, tak

że patrzę czy się dymi czy się nie dymi i takie pytanie bardzo naiwne: była rozbudowana społeczna funkcja zakładu pracy w Hucie; robi karierę pojęcie społecznej odpowiedzialności biznesu, więc naiwność mojego pytania będzie polegała na tym, że czy Włosi i Hindusi nie są przypadkiem przedstawicielami tego biznesu społecznie odpowiedzialnego? czy może to jest źródło, że robotnicy nie widzą jako głównego konfliktu z właścicielem, bo właściciel się zrobił jakiś taki socjalny, a rząd - wiadomo, rząd nie daje na różne podwyżki, dopłaty i dotacje. I to jest pytanie. A poza tym, czy istnienie klasy robotniczej jest ściśle związane z dominującą rolą przemysłu, zwłaszcza przemysłu ciężkiego w gospodarce, czy ona musi odchodzić wraz z prywatyzacją gospodarki- a może wręcz przeciwnie. Bo jak czasami obserwuję, wszyscy obserwujemy te nie takie wielkie ale jednak objawy połączenia solidarnego wśród załóg wielkich supermarketów; czy one nie pełnią w tej chwili takiej roli klasowej?